

Angielski sen – 1

11 września 2018

Od kilku miesięcy pracuję na Wyspach. Po dwóch tygodniach urlopu ponownie odwiedziłem Zjednoczone Królestwo – wciąż nie wiem na czym to ich jednoczenie polegało, ale mniejsza z tym.



Zanim tu przyleciałem chwytalem się w panice przeróżnych zajęć. Po kolejnej i mam nadzieję ostatniej terapii odwykowej, po raz kolejny rozpocząłem nowe życie. Ponieważ z samego pisania utrzymać się teraz nie sposób, a wiele więcej robić nie potrafię. Pomimo pewnych oporów, ale z nadzieją na stały dochód, zatrudniłem się na jakiś czas w telewizji państwowej. Niestety, wszędzie był ten sam problem, płatności. Owszem, zapewniali, że już za miesiąc zapłacą, wyrównają i że będzie już dobrze. Na pocieszenie dowiedziałem się, że z pewnością dostaniemy kasę na koniec grudnia, ponieważ księgowość przed nowym rokiem musi zrobić porządek w papierach. A to był chyba wrzesień.

Niewiele brakowało, bym już został nawet stajennym. Pomysł bardzo mi się spodobał, praca w sam raz – choć kwalifikacji brak, to zapału do cholery. W jednej ze stadnin, poszukiwali pomocnika. Pojechałem na rozmowę wstępną. Ponieważ jednak długo nie było odzewu, zdecydowałem się na wyjazd do mitycznej

krainy funta szterlinga.

Znajomi znaleźli mi pracę, ogarnęli lokum, udzielili kilku wskazówek, pomogli pozałatwiać formalności, i tak zacząłem brytyjski rozdział mojego życia.

W listach publikowanych na FB opisałem początki pracy, trudy aklimatyzacji, problemy z jakimi borykałem się na co dzień, coś co potem przeradzało się w banał, stawało rutyną, by ostatecznie dojść do wniosku, że nawet na swój sposób lubię tę pracę. A życie, choć wydaje się dziwne i czasami głupie, jest w zasadzie znośne, choć wciąż coś mnie tu uwiera. Nie potrafię określić co, ale wiem, że to nie jest moje miejsce na ziemi. Żeby nie stracić orientacji, każdego dnia zakładam zegarek, by nie stracić orientacji i nie pomylić lewej strony z prawą.

Wyleciałem z Polski jedynie na miesiąc, by poprawić swój byt i poczekać na kasę ze spodziewanej sprzedaży książki. Bytu jednak nie poprawiłem, a sprzedaż jest wciąż nieokreślona. Utknąłem więc w tym dziwnym kraju i trwam, bo zarobki dla takich jak ja, wystarczają jedynie na trwanie – chwilowe i niepiękne.

Plusem jest to, że nie od pierwszego do pierwszego, a od piątku do piątku. Płacą mi co tydzień, więc jeśli kasa skończy się na przykład we środę, to wystarczy przetrwać jedynie czwartek i życie, a raczej trwanie, zaczyna się od nowa. W międzyczasie zadzwonił właściciel stajni, żebym przyjechał do roboty, bo moja kandydatura najbardziej mu odpowiada. Tym razem ja się wahałem, bo szczerze mówiąc ledwo się zainstalowałem, zacząłem poznawać miejsca i ludzi. W magazynie gdzie piastuję odpowiedzialne stanowisko sprzątacza pracują ludzie z 69 krajów. Część z nich poznałem, z częścią się zaprzyjaźniłem, a moja nauka języka pasztu zadziwia nawet Pakistańczyków. Kiedyś jeden kierowca Ubera, prosił mnie bym nauczył go jak się przedstawić w tym języku, bo on wprawdzie Pakoł, ale urodzony na Wyspach i całkowicie zasymilowany. Uczyłem go więc całą drogę: „Hapkakja name her?” (jak się

nazywasz) i odpowiedź: „Mera name Jammi ha”, bo chyba Jammi miał na imię.

Planowany miesiąc pobytu w UK minął kilka miesięcy temu, a ja nadal mieszkam w kraju, którego pomimo szczerych chęci, nie udało mi się polubić. Wielka Brytania, to śmieci walające się po ulicach, to podłe jedzenie, Anglicy patrzący z góry na obcokrajowców, ludzie posługujący się językiem, w którym nie ma słowa „smacznego”, ale w zasadzie nie powinno to dziwić. Byłoby niesmacznym żartem powiedzenie komuś podczas typowego angielskiego obiadu „Smacznego”. Jedzenie naprawdę jest tu okropne. To kraj, w którym podobnie jak ruch uliczny, wszystko znajduje się z niewłaściwej strony.

To jedno z nielicznych na świecie miejsc, które kompletnie niczym mnie nie zachwyciło. Zdarzało się owszem, że zwiedzając jakieś miasteczko, myślałem „ale tu ładnie”, ale szybko dochodziłem do wniosku, że po prostu jest to posprzątane, zadbane, ale zupełnie przeciętne miejsce.

Zwiedzając Londyn obszedłem miejsca opisywane w powieściach Charlesa Dickensa – i nawet tego turpistycznego piękna z „Olivera Twista” nigdzie nie dostrzegłem. No, może w podziemnym przejściu w Luton, gdzie mieszka para bezdomnych dwudziestokilkułatków. Piękno dotyczy jedynie ich miłości, bo sytuacja w jakiej się znaleźli obciąża każdego z nas. A jeśli nie wydarzy się coś, jeśli nie zmienimy świata, to i tę miłość zabijemy. Patrząc na nich, zrozumiałem chyba co miał na myśli autor pisząc w Internecie o Luton: „W tym miejscu kończy się ludzkość”.

Dotychczas mieszkalem w tym mieście. Według statystyk, Luton jest jednym z trzech najbrzydszych, najgorszych i najbardziej niebezpiecznych miast w UK. Znakomite rekomendacje dla kolekcjonerów wrażeń – pomyślałem – ale już po pierwszych tygodniach doszedłem do wniosku, że tu również jest przeciętnie. Handel narkotykami kwitnie praktycznie w każdym miejscu, nawet nie w ciemnych zaułkach, ale na głównych

ulicach czy reprezentacyjnym deptaku. Sprytni dilerzy wpadli nawet na dość oryginalny pomysł. Rozdają wizytówki, na których w dwunastu językach napisane jest, co i za ile można kupić. Z numerem telefonu oczywiście. Dwukrotnie znalazłem dilerki pełne białego proszku – zapewne kokaina, bo kto by sobie polską fetą (amfetamina) dupę zawracał.

Gdy kilka dni temu, po dwutygodniowym urlopie wróciłem z Polski, wsiadłem w pociąg, by jak najszybciej dojechać do znajomych. Zająłem miejsce... i tuż pod nogami zobaczyłem charakterystyczny, foliowy woreczek wypełniony białym proszkiem. „Good morning Anglio” – pomyślałem. Idealne miejsce dla kogoś, kto usiłuje wytrzeźwieć po 25 latach czynnego i hardkorowego uprawiania nałogów.

Jest jednak coś, czego Brytyjczykom zazdroszczę. Są równie niemili dla wszystkich. Tu nie wartościuje człowieka praca, którą wykonuje. Nie ma najmniejszego znaczenia w relacjach międzyludzkich, czy jest śmieciarzem, sprzątaczem, managerem, lekarzem czy kimkolwiek innym. Piastowane stanowisko jest na ostatnim miejscu jakiejkolwiek rozmowy. „Mój mąż jest z zawodu dyrektorem” – nie robi tutaj wrażenia.

Tutaj nie wzbudza sensacji para gejów czy lesbijek całujących się w autobusie lub na ulicy. Ale narzekają na imigrantów, ludzi z ich dawnych (i współczesnych) kolonii, których maksymalnie wyeksploatowali ze wszystkich wartościowych złóż, minerałów, niewolniczej pracy. Wycisnęli z nich wszystko, co zaspokajało ich próżność i stanowiło jakąkolwiek wartość, wpędzając tym samym w nędzę, a siebie w dobrobyt.

Pewna doza sprytu i zmysł obserwacji, bardzo ułatwia życie. Komunikacja w Anglii jest potwornie droga. Bilet z Luton do Londynu w jedną tylko stronę kosztuje 22 funty. A to naprawdę niewielka odległość. W zależności od stacji 30-50 km.

Można jednak spokojnie przejechać tę trasę bezpłatnie, tylko w mniej dogodnych porach. Od 22.00 do 6.00 rano wszelkie bramki

są otwarte, a stojąca obok obsługa kończy pracę. Można więc jeździć za free aż do oporu, czyli do 6.00 rano.

Kilka osób w pracy ucieszyło się z mojego powrotu. Ponieważ wcześniej zapowiedziałem, że prawdopodobnie zostanę w Polsce, to radość jaką zobaczyłem w ich oczach autentycznie mnie wzruszyła. Oczywiście Pasztuni, kilku Hindusów, Rumunów, i – co ciekawe – kilku Polaków, z którymi zdążyłem się już zakolegować. Znakomita większość wciąż się nawet ze mną nie wita. Najbardziej ucieszyła się dwójka Rumunów – Rokko i jego naprawdę piękna dziewczyna Made. Przez ostatni miesiąc jeździłem z nimi do pracy. Zaprzyjaźniliśmy się, a że pokrywał nam się grafik – oni też pracują na nocki – to miałem doskonały transport.

Od mojego miejsca zamieszkania do pracy to odległość ponad 30 km. Nie byłoby to nawet wielkim problemem, gdyby jeździły tam jakieś autobusy lub pociągi. Owszem istnieje kilka kombinacji dojazdu środkami publicznej komunikacji, ale wiążą się one z właściwym dla tego kraju ryzykiem. Ryzyko jest takie: autobus może przyjechać lub nie. Nie ma reguły. Niby jest na rozkładzie, niby elektroniczna tablica pokazuje, że za ileś tam minut przyjedzie, by w ostatniej minucie przeskoczyć i podać kolejny termin za 40 minut. Kiedyś z kolegą czekaliśmy w Old Hatfield ponad cztery godziny wierząc, że w końcu nadjedzie. Cztery czy pięć razy gapiliśmy się w minuty wyświetlane na przystankowym telebimie. Przypomniał mi się wtedy fragment piosenki Jacka Kaczmarskiego „i w duszach swych przeklinaliśmy, tę łatwą wiarę, w megafony”. Gdy jednak mamy już to szczęście i jednak przyjedzie, też nie należy jeszcze popadać w euforię.

Dwukrotnie dałem się nabrać i cieszyłem jak dziecko, gdy zobaczyłem nadjeżdżający pojazd o właściwym numerze. Jeszcze w pierwszym tygodniu pracy, wracałem do domu i marzyłem jedynie by coś zjeść, ochłapać i do łóżka. Jakieś cztery kilometry od mojego wynajętego pokoju na Stockwood Crescent w Luton, zatrzymał się i twierdząc, że auto ma awarię, wyrzucił

wszystkich pasażerów. Drugim razem, na zupełnie innej trasie, w pewnym momencie, kierowca ogłosił, że właśnie skończył pracę i też wyrzucił wszystkich z autobusu. Czegoś takiego jak komunikacja zastępcza jeszcze tu nie widziałem.

Poza trudnościami komunikacyjnymi autobusów, pojawiają się dosyć często werbalne trudności komunikacyjne, gdy kupuję bilet. Odwiedzając znajomych w Borehamwood, często zostaję u nich na noc. Następnego dnia, jadąc do pracy z lękiem wypatruję autobusu o numerze 658.

Kupując bilet mówię kierowcy nazwę przystanku – Colney Fields. Kierowca powtarza: „London Colney?” Nie, odpowiadam, bo bilet który chce mi sprzedać jest droższy. Więc powtarzam Colney Fields, a ten swoje „London Colney”. I tak czasami po kilka, kilkanaście razy. W końcu kierowca załapuje „A! Colney Fields. Dlaczego od razu nie mówisz?” I patrzy na mnie jak na kretyna.

Zirytowany tymi wiecznymi problemami, by uprościć sprawę, zatrzymałem sobie w kieszeni stary bilet, gdzie jest napisana właściwa nazwa przystanku. Pomysł przeszedł spodziewane granice i już nie tylko nie muszę się spierać o który Colney mi chodzi, ale również przestałem płacić za przejazd.

Wchodząc do autobusu mówię kierowcy „Colney Fields” i wyciągam ten stary bilet, by sobie jeszcze przeczytał. Kierowca w pierwszej chwili mówi „London Colney”, gdy jednak patrzy na ten stary bilet, który podtykam mu pod sam nos, mówi ok, masz bilet, siadaj możesz jechać. I tak na lewym bilecie, lewą stroną drogi dojeżdżam do roboty.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Zdjęcie: [Picudio](#) (CC0)

Źródło: [Trybuna.info](#)